

A. K. Green.

Który z nich?

9

(Ciąg dalszy).

Wyloniła się wobec tego bardzo zawiła kwestya, kim był ten drugi tajemniczy jegomość, którego wypuścili, a ponieważ ani chciałem, ani mogłem zaspokoić ich pod tym względem, zaprowadzili więc mnie na policję, gdzie musiałem pozostać do następnego dnia. O pół do dziesiątej rano stawili mnie przed komisarzem, który był zmuszony uwolnić mnie, przeprasając zarazem za zbytek gorliwości swych podwładnych.

Po powrocie do siebie, powiedziano mi, że jakiś służący przyniósł dla mnie pakunek i list. Była to moja marynarka i kapelusz z listem, zawierającym obiecane pięćset franków.

To tylko chciałbym wiedzieć teraz, proszę pana, kim był ten jegomość. Pytanie to nasuwa mi się ciągle od chwili, gdy otrzymałem te pieniądze. Człowiek, który może rozdawać swobodnie banknoty pięćsetfrankowe, musi być bardzo pożyteczny.

Opierając się o drzwi, czekałem z zapartym oddechem na odpowiedź. Wyznać muszę, że mój przyjaciel nigdy się nie spieszy. Wreszcie gdy się zdecydował mówić, rzekł głosem wolnym i spokojnym:

— Zdaje mi się, iż mówił mi pan poprzednim razem o jakimś dowodzie; o ile się nie mylę, miało to być pudełko do zapalek, znalezione w kieszeni ubrania, jakie ten nieznajomy pozostawił panu?

— Istotnie.

— Czy na tem pudełku jest jaki monogram?

— Tak, niech pan zobaczy.

Nastąpiła chwila milczenia, potem dosłyszałem znowu najobojętniejszy głos Jana:

— Hm, tak, widzę. Czy pozwoli mi pan, bym porównał ten monogram z kolekcją, jaką mam w tamtym pokoju? Może będę mógł powiedzieć panu, do kogo on należy.

— Proszę bardzo, niech pan to uczyni.

Jan zbliżył się do mnie. Nagłe wzruszenie, jakie wtedy doznałem, posłużyło mi za przestrożę. Winienem uważać, by nie zdradzić swej obecności. Najmniejszy ruch, najmniejszy szmer mógł obudzić podejrliwość agenta, którego domyślności należało się obawiać.

Dorlaix podał mi w milczeniu pudełko, otrzymane od Lataupe'a. Spojrzenie jego było tak wyraziste, iż zadawało najzupełniej kłam obojętności, z jaką słuchał opowiadania swego gościa. Z wielką ciekawością obejrzałem monogram. Trudno go było odrazu odczytać, lecz podczas gdy mu się przyglądał, Jan wziął ze stołu kawałek papieru i napisał:

— Znam to pudełko, jakbym je widział sto razy. Potem dodał litery, składające ten monogram: L. J. B. H.

— Lionel Hardy? — szepnąłem lekkim, jakby tchnieniem, głosem.

— Lionel John Baptysta Hardy — dopisał znowu Dorlaix.

Było to imię, które tkwiło ciągle w mym umyśle, imię, którego nie mogłem zapomnieć od dnia badania u sędziego śledczego.

Nie była to chwila odpowiednia do wymiany zdań. Jan przykręcił znowu gaz i powrócił tym samym, równym, jakby wymierzonym krokiem do salonu, mówiąc niedbałym tonem do Lataupe'a:

— Będąc na pańskim miejscu, nie chwaliłbym się zbyt otwarcie tem cackiem. Jeżeli zachowa je pan dyskretnie, to może ono panu przynieść w tych dniach nowe pięćset franków.

— W jaki sposób? Czy pan zna ten monogram?

— Czy ja go znam? Doskonale. Pan zaś najlepiej uczyni, siedząc spokojnie i oczekując na dalszy bieg wypadków. O ile, ma się rozumieć, chodzi panu o zdobycie banknotów. Co pan uczynił z ubraniami swego przebranego bogacza?

— Schowałem je w szufladzie komody.

— Ach, tak! Dobrze, niech pan również schowa tam i pudełko, radzę to panu szczerze.

— Nie omieszkać tego uczynić.

— Jeszcze cygaro, panie Lataupe?

— Chętnie. Nie często palę podobne... Pan co mówi?

— Ja nic!

— Ach!... Zdawało mi się!...

— Nie, nic.

Przez dłuższą chwilę gospodarz i gość palili w milczeniu. Potem usłyszałem znowu głos Jana, który odezwał się możliwie najobojętniejszym tonem:

— Zdaje mi się, że ostatnim razem przytaczał pan jeszcze jakiś szczegół. Czy nie wspominał pan,

że ten tajemniczy jegomość przed oddaniem panu swego ubrania, wyjął z kieszeni jakiś flakon, lub coś do tego podobnego?

— Bardzo możliwe. W każdym razie nie było to nic ciekawego. Dziwię się, że pan zwrócił nawet na to uwagę.

Dłuższe milczenie ze strony Jana, potem rzekł: — Uważam na wszystko. Czy był to wielki flakon, czy mały?

— Mały. Mieścił się swobodnie w zamkniętej dłoni.

Nowe milczenie, przerwane nagle zapytaniem, od którego Lataupe zdrżał.

— Czy nie przypuszcza pan, że w podejrzanym salach matki Lepic palą opium?

Były agent zawahał się chwilę.

— Rzeczywiście, może to się tam dziać. Nie przyszło mi na myśl. Teraz rozumiem, dlaczego ludzie, jakich tam widziałem, a przynajmniej niektórzy z nich, mieli przytępiony wyraz twarzy, którego nie można wytłumaczyć pijaństwem. Bahl... Ale to nie opium było w tym flaconie, przynajmniej nie w postaci, w jakiej się go pali. Widziałem flaszeczkę, gdy przekładał ją z jednej kieszeni do drugiej. Był w niej jakiś ciemny płyn... Matka Lepic zajmuje się także w wolnych chwilach przyrządzaniem ziół. Musi handlować wszelkiego rodzaju lekarstwami...

Jan Dorlaix zdawał się pograżać na nowo w stan jakiejś ośpałej obojętności. Szepnął tylko, że Lataupe dużo rzeczy tam widział, mimo iż sala była ciemna, na co agent, którego wrodzona podejrzliwość zaczęła się budzić, odparł z pewnym przymusem:

— Widziałbym tam daleko więcej, gdybym domyślał się, że można na tem coś wygrać. Czy nie mógłby mi pan udzielić jakich wskazówek, jak się wziąć do rzeczy, by zyskać nowe pięćset franków?

Na to jasne zapytanie Jan odpowiedział tylko tonem, który kładł koniec całej rozmowie.

— Nie dzisiaj!

Agent wkrótce potem odszedł. Pośpieszyłem bez ceremonii do salonu. Jan siedział jeszcze przy stole i przyjął mnie na poły z uśmiechem, na poły z niepokojem.

— Jak ci się podoba moja komedia?

— Doskonałym jesteś aktorem, ale nie na tyle, by on nie podejrzewał, żeś zagrał z nim komedję.

— Och! Nie wiele to znaczy. O ile nie odgadnie znaczenia tego monogramu, nie mamy czego się bać. A do tego nie dojdzie nigdy. Znam za dobrze mego Lataupe'a, bym mógł choć na chwilę to przypuszczać.

— Tak, lecz flakon? Całe miasto mówi o flaconie.

— Możliwe, ale nie o zapalnicze, która może przynieść pięćset franków jej posiadaczowi.

Siadłem naprzeciw Jana i patrząc mu prosto w twarz, rzekłem z namysłem:

— Obecnie, kiedy już to imię zostało między nami wymówione, możemy rozmawiać otwarcie. Kiedy zdarzyła się Lataupe'owi ta przygoda? Z pewnością pytałeś się go, którego dnia był u matki Lepic.

Jan, który nie lubi poruszać się, mimoto podniósł się i podszedł do etażerki, gdzie leżały dzienniki. Wybrał z pomiędzy nich jeden, założył starannie górną jego część, by zakryć datę i wskazał mi do przeczytania pewien ustęp. Przeczytałem artykuł, w którym była mowa o rewizji policyjnej dnia poprzedniego u matki Lepic i o aresztowaniu kilku osób, wypuszczonych następnie rano z powodu braku dowodów przeciw nim.

— Teraz spojrzaj na datę dziennika.

Usłuchałem go skwapliwie. Była to data bolesna, data śmierci pana Hardy'ego.

— Sprawa z matką Lepic odbyła się w wigilię otrucia, był to komentarz jedyny, jaki mi dał, ton jednak jego głosu nie był już obojętny.

Na chwilę zamilkłem, wreszcie odezwałem się bez ogródek.

— Rozumiem. Sądziś, że udał się do tej spekulki po truciznę.

Jan flegmatycznie pociągnął przed odpowiedzią kilka razy cygaro.

— Jest to prawdopodobne. Nie należy jednak zapominać, że proste przypuszczenie i pewność, są to rzeczy, daleko leżące od siebie. Ta flaszeczka, tak starannie wyjęta z kieszeni, w której znajdował się inny, daleko cenniejszy przedmiot, zawierała tylko jakiś płyn, a nie zostało stwierdzone, by to była trucizna. Tem mniej jest dowiedzione, by tą właśnie flaszeczkę znaleziono w sali jadalnej u Hardy'ch.

— Zupełnie słusznie.

— To jednak, co opowiadał Lataupe o przebieganiu się i dziwnem zachowaniu Lionela w tem podejrzanym miejscu, pozwala na najgorsze domysły.

— Z pewnością — pośpieszyłem potwierdzić, roz-

myślając nad tem, iż słowa byłego agenta przyniosą wielką ulgę Genowefie, lecz grożą zarazem ciężkimi następstwami dla winowajcy.

— Gdyby nie fałszywe położenie pauny Saugey w tem wszystkim — odparł Jan — nigdy nie ośmieliłbym się mieszać do tej sprawy. Zbyt dobrze znam tych chłopców, sporo butelek szampana wypróbowałem z Jerzym Hardym, za wiele nocy spędziłem, mając przed sobą elegancką postać Alfreda. Co zaś do Lionela, to z nim rzadziej się spotykałem, o tyle jednak często, że odrazu poznać mogłem jego zapalniczkę w rękach Lataupe'a.

— Czy nie przypuszczasz, że w kieszeni tego ubrania mogło się jeszcze coś znajdować, coś takiego, co by stwierdzało identyczność właściciela tej marynarki?

— Wcale nie. Gdyby Lataupe znalazł coś podobnego, nie mówiłby o swej przygodzie wobec przyjaciela rodziny Hardy'ch. Miałby prawo udać się wprost do sędziego śledczego, o ile nie starałby się skorzystać ze swego odkrycia, kładąc płacić sobie drogo za milczenie.

— A więc uważasz, że nie domyśla się wcale doniosłości i ważności znalezionej rzeczy?

— Jestem o tem przekonany.

— Cieszę się z tego, lecz on nie będzie długo pozostawać w tej nieświadomości, jeżeli mam zażądać jego usług.

— Zależy to od tego, co zamierzasz mu poruczyć.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Moje projekty były tak chwiejne, jak dym z cygara, które w roz-targnieniu zostawiłem na kominku.

— Lionel nigdy nie podobał ci się bardzo — rzekłem wreszcie, by dać sobie czas do namysłu. — I mnie również, gdy zauważyłem na jego twarzy w dzień śmierci ich ojca tak dziwny wyraz.

— A jednak trzy czwarte ludzi, którzy go znają, powiedzą ci, że jest to najlepszy człowiek i bez wątplenia więcej wart od swoich braci.

— Mimo jego podejrzanym wycieczek? — zwróciłem uwagę.

— Mimo wszystko. Dostatecznem jest widzieć, jak regularnie chodzi do kościoła, by przyznać mu wszelkie zalety. Mniejsza zresztą z tem, w każdym razie jest to dziwny człowiek. Musiała to być jakaś niezwykle potężna pobudka, jeżeli popchnęła do zbrodni człowieka, tak sytuowanego jak on. Czy możesz określić to, co go do tego skłoniło? Czy to był brak pieniędzy, pragnienie zupełnej swobody, by oddać się bez żadnych przeszkód swemu dziwnemu sposobowi życia, czy też poprostu działała tu przewrotność zawziętego charakteru, dążącego do usunięcia z drogi wszelkich zawad?

— Za wiele żądasz odemnie. Mogę dostarczyć ci faktów, lecz jeżeli chodzi o wytłumaczenie ich, jest to już inna sprawa... Jakto, chcesz wyjść?

— Nie, lecz rozważyć coś należycie mogę tylko wówczas, gdy znajduję się samotny w swym gabinecie.

— Dobrze, za chwilę będziesz mógł zasiąść swobodnie wśród swych domowych bogów. Przedtem jednak pozwól mi opowiedzieć sobie szczegół, który przyczyni się do wyświetlenia ci istotnego charakteru człowieka, zajmującego nas obecnie. Nie chodzi tym razem o rzeczy słyszane, lecz o to, co widziałem na własne swe oczy.

Zeszłej jesieni przechodziłem pewnego dnia przez Cours-la-Reine, gdy nagle w poprzecznej alei ujrzałem Lionela Hardy'ego. Rozmawiał z jakąś kobietą w podartych trzewikach i obłoconej sukni. By z nią rozmówić się, wysiadł zapewne z swej karety, która opodał czekała na niego. Ponieważ filantropia jest jego bzikiem, nie było w tym fakcie nic nadzwyczajnego. Chciałem przejść obok niego bez zwracania większej na to uwagi, gdy zostałem wstrzymany bolesnym wyrazem jego twarzy. Spojrzałem uważniej na jego towarzyszkę. Była to jedna z tych nieszczęśliwych o nieprawdopodobnie jasnych włosach, wymalowanych policzkach, wykarminowanych ustach, nieładna i niezdolna do pociągnięcia za sobą nawet najmniej wybrednych. Lecz on!... Rzadko zdarzało mi się widzieć człowieka tak bardzo wzruszonego i podnieconego. Po chwili, gdy ona zrobiła ruch, jakby chciała się oddalić, przytrzymał ją, chwytając za brudny szal, okrywający jej chude plecy, lecz uczynił to z taką miną, iż zdawać się mogło, że życie jego zależy od obecności tej kobiety przy nim. Zwrócił się do niej z błagalną prośbą, na którą jednak odpowiedziała przecząco. Nie zniechęcił się tem, lecz ponowił swe nalegania, wskazując ręką na powóz. Kobieta spojrzała na ten ekwipaż i cofnęła się jakby w przerażeniu. Wkrótce jednak, gdy on nie przestawał jej prosić, zdawała się ustępować, schylając głowę. Ujrzałem wtedy dziwną scenę. Lionel Hardy dał znak stangretowi, by podjechał, po-